

Wspomnienia

[...] Byliśmy w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen. W obozie, który znał prawie każdy z nas. W obozie, który dziennie pochłaniał dziesiątki istnień ludzkich, gdzie od bicia i męczarni oraz ciężkich robót ginęli ludzie jak muchy. Byliśmy w obozie, z którego praktycznie nie ma powrotu.

Po przebyciu około 3 kilometrów oczom naszym ukazały się pierwsze zwiastuny kaźni hitlerowskiej. Co mniej więcej 500 metrów stojące wieże wartownicze, stanowiące kordon posterunków, jakim w dwóch rzutach był otoczony właściwy obóz.

W dalszym ciągu ponurego marszu ujrzelśmy tzw. sztajnbruki [od niem. Steinbruch – kamieniołomy – przyp. wyd.], gdzie tysiące niewinnych więźniów znajdowało śmierć na skutek złego odżywiania, nadmiernie ciężkiej pracy oraz zwyrodniałego znęcania się nad pracującymi więźniami. Po chwili skręciliśmy w prawo i ponury nasz pochód posuwał się wśród ładnych i schludnych baraków, jak później dowiedzieliśmy się, zamieszkanymi przez załogę SS-manów. W końcu przeszliśmy przez wspaniałą betonową bramę, przy której mieściła się wartownia. Byliśmy na olbrzymim placu oświetlonym szeregiem reflektorów. Naszemu pochodowi przyglądało się badawczo kilkunastu więźniów z napisami „Capo” i „LÄ” na rękawach. Ustawiono nas tak, jak nadchodziliśmy piątkami. Oczy przyzwyczajające się do jaskrawych świateł reflektorów, ujrzały teraz szereg stołów ustawionych wokół placu. Przy każdym stole, przy maszynie do pisania siedziało po dwóch więźniów w pasiastych drelichach.

Po parominutowej przerwie i uporządkowaniu szeregów oraz kilku doraźnych sądach i wymierzeniu kary nowo przybyłym, oznajmiono nam, że tak jak stoimy, kolejno mamy podchodzić do poszczególnych stołów i wykonywać to, co nam tam polecą. I tak przy pierwszym stole wyrzuciliśmy wszystką posiadaną żywność oraz szczoteczki do zębów.

¹ Jerzy Tęšiorowski, w obozie przebywał pod nazwiskiem Józef Jerzy Sobocki, ur. 12.07.1915 r. w Bukowcu, przed wojną oficer Wojska Polskiego. 30.07.1944 r. ewakuowany z Pawiaka do KL Gross-Rosen, gdzie otrzymał numer 11764 (seria powtórzona), następnie pierwszym transportem przewieziony do AL Brieg. Uciekł z obozu 5.01.1945 r.

Przy następnym spisano nasze personalia i powód aresztowania. Dalej wyjęliśmy drogocenne przedmioty i pieniądze. Wreszcie оголоcono nas ze wszystkich posiadanych przedmiotów. Z kolei spisano kogo zawiadomić w wypadku śmierci i rozebrano do naga. Teraz nastąpiła rewizja. Szukano czy nie przemyciliśmy w ustach lub między palcami pierścionków lub innych przedmiotów wartościowych. Przy tym przeglądzie, jeżeli u kogoś znaleziono medalionik lub krzyżyk na szyi, zdzierano go z odpowiednimi epitetami, popartymi siarczystem mordobiciem.

Po rewizji nastąpiła kąpiel. W poczekalni czekali na nas fryzjerzy i golili wszędzie, gdzie tylko włosy rosły. Nierzadko taki „pan fryzjer” udając zniecierpliwionego ciął brzytwą przez brodę lub inne owłosione miejsce, nieraz bardzo boleśnie.

Teraz nastąpiła kąpiel, czyli innymi słowy zmęczenie całego ciała... zimną względnie bardzo gorącą wodą. Kąpiel trwała bardzo krótko. Była prowizoryczna, bo czasu na nią nie było i mydła nie wydano. Po kąpeli, mniej więcej około 2 godziny w nocy, przybiegliśmy całkiem nago do następnego baraku, gdzie kolejno otrzymywaliśmy sorty mundurowe, od bielizny począwszy i na drewniakach skończywszy.

Okolo 3 w nocy cały transport, 1000 więźniów z Warszawy, był umundurowany, ogolony i wykąpany. Nie można było ich odróżnić od kilku tysięcy już od dawna przebywających w obozie.

Nastąpił dla nas tak upragniony odpoczynek. I tym razem nie był on jednak takim, jakim go sobie wymarzyliśmy. 1000 nowych Häftlingów, tak jak napływali z łaźni, układano na podłodze obok siebie w dwóch podobnych do siebie salach. Było tak ciasno, że o samodzielnej zmianie położenia mowy być nie mogło. Skoro Stubendienst (służbowy) ujrzał gdzieś choćby kawałek wolnego miejsca, z krzykiem i pałką drewnianą w ręce skakał po śpiących, nie bacząc czy nadeptnie na brzuch, głowę czy nogę śpiącego, biegł do tego miejsca i doraźnie wymierzał 5 czy 10 pałek temu, kogo uznał winnym i układał w to miejsce nowego więźnia.

Do tej pory, mimo wielu groźnych sytuacji, unikałem mordobicia. Tym razem jednak to mnie nie ominęło. A było to tak. Mniej więcej w godzinę po ułożeniu się do spania, ubrałem na bosc nogi drewniaki i poszedłem załatwić potrzebę fizjologiczną. Niestety chciało, że w drugiej sali, gdzie również spali nasi koledzy, natknąłem się na wszechwładnego kapo, który przyjął mnie siarczystem mordobiciem i stekiem wyzwisk i przekleństw. Język niemiecki miałem wówczas słabo opanowany, zrobiłem zdziwioną minę. Wówczas mój „prelegent” powtórzył mordobicie i przy

pomocy swego pomocnika, mówiącego po polsku, przetłumaczył mi, że nie powinienem iść w drewniakach, gdyż robią one hałas i niepotrzebnie budzą zmęczonych kolegów. O ironio, wrzaski kapo ich nie obudziły, a moje naprawdę ciche przejście nie pozwoliło im spać. Z tego wszystkiego nie poszedłem już tam, gdzie zamierzałem i wróciłem na posłanie pod świeżym wrażeniem rozkoszy obozowych. Reszta pierwszej nocy przeszła bez większych wydarzeń.

O 5 rano obudziły nas wrzaski kapo i Stubendienstów. W parę minut po pobudce odbył się pierwszy apel, w czasie którego nastąpił wypadek, którego nie sposób pominąć. Na cały nasz stan, przeszło 1000 ludzi, było jedynie 6 ustępów. Frekwencja więc w tym miejscu była olbrzymia. Jeden z więźniów nie mogąc dłużej wytrzymać, nie bacząc na ogłoszenie zbiórki, udał się w to ustronne miejsce i około minuty spóźnił się na apel. W rezultacie otrzymał 25 pałek, które natychmiast, wobec wszystkich, mu wymierzono. Bił tym razem sam Rapportführer, SS-man. Uderzenia były tak siarczyste, że delikwent w kilka godzin później zmarł. Również na apelu dowiedzieliśmy się, że jeden z naszych kolegów w nocy rzucił się na druty wysokiego napięcia okalające obóz i w ten sposób zakończył życie. Następnie tenże Rapportführer wybrał spośród naszego grona kilku kolegów chorych, których wraz z jednym obcokrajowcem, mieszkającym stale w Warszawie, o nazwisku Passini, zdradzającym objawy choroby umysłowej, odtransportowano w kierunku, sądząc z wysokiego komina, jakiejś fabryki. Jak później okazało się, do krematorium. Dla tych męki obozowe nie trwały długo. Skończyły się na zawsze.

Pierwszy dzień w obozie minął dla nas bez szczególnych wydarzeń. Sprawdzaliśmy umundurowanie oraz przyszywaliśmy numerki. Przy tej okazji dowiedziałem się w jaki sposób rozróżniano przestępców. I tak każdy z nas na lewej piersi i prawej nogawce musiał przyszyć odpowiedni numer. Ja miałem nr 11764. Przed numerem wymalowany był trójkąt. Czerwony trójkąt mieli przestępcy polityczni, czarne – sabotaż pracy, zielone – kryminaliści, liliowe – wszelkich wyznań duchowni i badacze Pisma Świętego, żółte mieli Żydzi, a różowe – homoseksualiści. Patrząc na więźnia, wystarczyło spojrzeć na winkiel, aby rozpoznać z kim ma się do czynienia. Dla rozróżnienia narodowości, na trójkątach wymalowane były litery. „P” mieli Polacy, „F” – Francuzi, „T” – Czesi. Niemcy, których również była dość duża liczba, nie mieli żadnej litery, trójkąt mieli natomiast odwrócony wierzchołkiem do góry. I dziwna rzecz, że wszystkie funkcje obsadzone były przeważnie przez osobników z zielonymi trójkątami, czyli krymina-

listów. Nic też dziwnego, że dla nich zamordować człowieka biciem lub w inny sposób zmasakrować było rzeczą zupełnie normalną. W zamian za swą służalczość mieli duże udogodnienia, jak lepsze jedzenie, spanie w lepszych warunkach, nie mówiąc, że od pracy byli zupełnie zwolnieni.

Wieczorem, około godziny 18, odbył się apel wieczorny. Nas jako nowicjuszy wprowadzono na Appellplatz (plac apelowy) pierwszych. Mam wrażenie, że uczyniono to celowo, byśmy byli świadkami przybycia z pracy kolumn roboczych. Przed bramą na powracających czekało szereg pisarzy oraz orkiestra obozowa. Zanim zobaczyliśmy pierwsze wkraczające kolumny więźniów, usłyszeliśmy donośne podawanie nogi przez kapów: links, links und rechts (lewa, lewa, prawa). To podawanie nogi, to po to, by kolumna weszła do obozu równym i sprężystym krokiem. Wreszcie usłyszeliśmy ryk „Mützen ab” (czapki zdjąć). I tak szły kolumna za kolumną, jedni bardziej, inni mniej wyczerpani, wszyscy ogorzali, z błyszczącymi w sierpniowym słońcu dwucentymetrowymi ścieżkami wygolonymi przez środek głowy. Ścieżki te były golone co tydzień brzytwą, a przez więźniów zwane „Weg zum Himmel” (droga do nieba). Pochód kolumn zamykał oddział składający się z około 30 ludzi z wielkimi kołami wymalowanymi czerwoną farbą na plecach. To oddział składający się z więźniów, którzy próbowali ucieczki z obozu i zostali schwytani. Na zakończenie, kilkaset metrów za ostatnim oddziałem, wbiegło w szyku piątkowym tzw. Strafkommando (oddział karny). Byli to nieszczęśliwcy, którzy za różne przewinienia dostali się do tego oddziału. Każdy z nich wiedział, że tam musi umrzeć, wykończony pracą i torturami. Był to oddział, który wszystko wykonywał biegiem i pracował od pobudki do capstrzyku, bez żadnego wytchnienia. Ubrania ich i twarze były malowane w czerwone pasy na sposób zebry. Straszny to był widok. To były cienie, nie ludzie. To żywe ofiary terroru hitlerowskiego. To ludzie, którzy żyli ostatkiem sił, to ludzie, którzy wiedzieli, że jeśli nie dziś, to za parę dni umrzeć muszą.

W tym czasie jednym z członków „SK” był ksiądz Radziwiłł, który wraz z doktorem Bołociem został schwytany na rozmowie politycznej i do tego oddziału wtrącony. Po kilku dniach mąk, wiedząc, że prędzej czy później czeka go śmierć, skoczył w kamieniolomach, gdzie pracował, z wysokości kilkunastu metrów. Niestety, nie zabił się, a w okropny sposób potłukł, łamiąc sobie żebra i rękę. Niestety, opatrzony przez lekarza musiał w następnym dniu pracować. Nic to dziwnego, przecież kapo od „SK” był osławiony, krwiożerczy i wszystkim w Gross-Rosen znany kat o nazwisku Vogel.

W parę minut po przybyciu kolumn roboczych odbył się apel, czyli sprawdzenie stanu liczebnego obozu, plaga wszystkich więźniów. Tym razem przypatrywał mu się z wieży nad bramą, w otoczeniu dwóch SS-manów z karabinami maszynowymi, sam komendant obozu, jakiś kapitan SS². Po zdaniu mu raportu na podwyższenie wszedł więzień, który przed paroma dniami próbował ucieczki z obozu i niestety został schwytany. Wśród doraźnych ciosów musiał wszystkim, krzycząc, oznajmić: „Ich bin wieder da”, „ja udirał mnie wiernuli”, „ja uciekałem, mnie schwytali”. Tak zakończył się nasz pierwszy apel w obozie Gross-Rosen.

Dzień następny był podobny do poprzedniego. W dniu tym spotkałem się z dawnym znajomym, jeszcze z czasów wolności, z Warszawy, Jasiem Małachowskim, który wraz z drugim przypadkowym znajomym z mego rodzinnego miasta Kalisza, kol. Janickim, którego przedtem nigdy nie widziałem, a który mimo zmienionego mojego nazwiska mnie rozpoznał. Oni właśnie dali mi pierwsze wskazówki, jak postępować i jak zachowywać się w obozie koncentracyjnym, by uniknąć niepotrzebnych konfliktów z prześladowcami. Nie zdają sobie oni prawdopodobnie sprawy, ile radości przyniosła mi ofiarowana przez kol. Janickiego koszula, pasek do spodni, szmaty na onuce oraz chusteczka do nosa, a od kol. Małachowskiego pierwszy kawałek chleba. Rzeczy te były przedmiotem zazdrości mych współtowarzyszy.

W trzecim dniu pobytu w obozie dowiedziałem się, że wraz z 600 innymi kolegami jadę do nowego miejsca pracy, do Briegu (Brzegu). Jechaliśmy tam budować lotnisko wojskowe dla III Rzeszy.

Następnego dnia obudzono nas o 3 w nocy. Po spożyciu względnie dobrego i na ówczesne warunki obozowe smacznego śniadania i zabraniu suchego prowiantu jako drugie, wyruszyliśmy za bramę obozu. Był nas okrągły 1000 więźniów. Za bramą czekali na nas lotnicy, którzy z karabinami z nadzianymi bagnetami, gotowymi do strzału, w odległości od naszej kolumny 10 kroków i w liczbie około 200 ludzi, odprowadzili nas na dworzec.

Załadowano nas do pociągu towarowego. Do miejsca przeznaczenia, czyli do Brzegu, przyjechaliśmy w samo południe. I znów piątkami, trzymając się pod ręce, wśród gęstego konwoju, szliśmy przez pięknie urządzone, nowoczesne zabudowania lotniska w Brieg-Pampitz (Brzeg-Pępicie). Przyjechaliśmy w momencie zakończenia alarmu lotniczego. Na każdym kroku

² Od października 1943 r. komendantem obozu był Sturmbannführer SS, Johannes Hassebroek.

spotykaliśmy dziesiątki młodych lotników niemieckich, wychodzących ze schronów i, tak w 39 roku wysmiewanych przez nich samych, dołów przeciwlotniczych.

Wszędzie spotykaliśmy się z nienawistnym wzrokiem i zabijającym spojrzeniem młodych lotników, a nierzadko słyszeliśmy rzucane pod naszym adresem „Banditen, Mörder” (bandyci, mordercy). Jak później dowiedzieliśmy się, dowództwo lotniska ogłosiło, że kolumna przybyła do pracy, składa się z samych pospolitych bandytów i morderców. Każdy z nas miał mieć na swym sumieniu kilka morderstw i rabunków. Swym postępowaniem potrafiłiśmy w niedługim czasie jednak przekonać ich, że jest inaczej, że jesteśmy ofiarami terroru hitlerowskiego.

Po prawie godzinnym marszu, znużeni, przyszliśmy do miejscowości Pampitz (Pępicze), gdzie czekały na nas gotowe już małe baraki, tzw. lotnicze, na 8 osób każdy. Po drodze spotkaliśmy duży oddział więźniów Żydów, którzy siedzieli na trawie, bacznie nam się przyglądając. Było to komando, którego miejsce mieliśmy zająć, a które równocześnie odjeżdżało w nieznaną przyszłość.

Obóz nasz był otoczony płotem z drutu kolczastego pod wysokim napięciem oraz kilkunastoma wieżami strażniczymi, na których bez przerwy czuwały posterunki niemieckie.

Pierwsze 4 dni zeszyły nam na organizowaniu obozu. W skład obozu wchodziło około 60% więźniów warszawskich, 20% Rosjan, 10% to Polacy przebywający na robotach w Rzeszy, przeważnie we Wrocławiu i tam aresztowanych. Reszta to więźniowie z Krakowa, Częstochowy i Kielc. Obóz był podzielony na 10 bloków z tzw. Blockältesterem (starszy bloku) na czele. Prócz tego była Schreibstube (kancelaria), Revier (izba chorych) oraz kuchnia.

To był tzw. podział administracyjny. Do pracy byliśmy dzieleni w zależności od zapotrzebowania na komanda, z jednym kapem i jednym vorarbeiterem na każdych 20 więźniów pracujących. W obozie w Pępicach byliśmy zatrudniani przy budowie lotniska dla III Rzeszy. Nieprzyzwyczajeni do pracy fizycznej, już po kilku dniach mieliśmy pęcherze na rękach, a kości nas tak bolały, że z trudem mogliśmy się wyprostować. Pracowaliśmy w pocie czoła 12 godzin dziennie, popędzani do zdwojonego wysiłku przez kapów, którzy nierzadko popierali swe krzyki nieodstępными pałkami, oraz przez naszych opiekunów w lotniczych mundurach.

Dzień za dniem, podobny do siebie, przesuwiał się jak w kalejdoskopie. Codziennie ten sam apel poranny, ustawianie kolumn do pracy, bicie na-

szego wszechwładnego „LÄ”, bezlitosnego Niemca nazwiskiem Schneider oraz jego „dziewczyнки do wszystkiego”, Rosjanina Koli. Sekundował mu niezgorzej Lagerkapo Rura z Poznania, który, jak fama obozowa głosiła, był przyczyną śmierci około 30 więźniów w Oświęcimiu, którzy wspólnie z nim zorganizowali ucieczkę z obozu i w ostatniej chwili zostali przez niego zdradzeni.

Pewnego dnia po normalnym apelu Rapportführer, Niemiec, krzyknął: „Schlosser austreten” (ślusarze wystąp). Był jednak przesąd w obozach, że nikt na ochotnika nie zgłaszał się, bo nie wiadomo było, czego w takich chwilach można się spodziewać. Były wypadki, że zgłaszający się na ochotnika byli zabierani do najcięższych robót, nie mówiąc już o przeróżnych najgorszych szykanach. I tym razem nie było ochotników. Mając jednak w perspektywie stałą ciężką pracę przy kilofie i łopacie, nie wyobrażając sobie już nic gorszego, wystąpiłem pierwszy. Za mną pośpieszyło kilkudziesięciu innych. Rapportführer podszedł do mnie, pamiętając, że wystąpiłem pierwszy, i odliczywszy wraz ze mną 20 innych więźniów, oznajmił: „Von heute Werkstattkommando” (od dzisiaj oddział warsztatowy). Początkowo nie wiedzieliśmy na czym ma polegać nasza nowa praca i jaki przeznaczono nam los. Po paru jednak dniach stwierdziliśmy, że na całej linii jesteśmy wygrani. Skończyła się nasza makabryczna praca w polu. Byliśmy grupą, która przeznaczona była do naprawiania w polowym warsztacie sprzętu budowlanego, którego wielka ilość zdołała się już popsuć.

Po paru dniach mogliśmy docenić, że znaleźliśmy się w o wiele lepszych warunkach niż reszta więźniów. Po pierwsze pracowaliśmy w polowych warsztatach, a więc częściowo pod dachem. Zespół ludzi, jaki przypadkowo dobrał Rapportführer okazał się wyjątkowym. Była to gromadka zgrana, koleżeńska, fizycznie jeszcze zupełnie sprawna, a jak później mogliśmy się przekonać, wiedząca za co siedzi w obozie. Zaprowadziliśmy w naszym komandzie prawie wojskowy rygor. Byliśmy świadomi, że dyscyplina ułatwi nam przeżycie obozu. Nie było u nas krzyków, nawoływań czy szturchańców, jak to miało miejsce w innych komandach. Jedzenie było dzielone sprawiedliwie, nie dopuszczano do tzw. wylizywania kotłów. Kapo, którym byłem ja, pracował na równi ze wszystkimi i jego funkcja ograniczała się do zrobienia zbiórki, zdania raportu, rozdziału jedzenia oraz wpływu moralnego na resztę załogi i innych porządkowych obowiązków.

Właśnie nasze komando sprawiło, że wszyscy kapowie, za wyjątkiem nielicznych, rzucili pałki, z którymi do tej pory nie rozstawali się. Pracowaliśmy pod nadzorem kowala Niemca, mówiącego gwarą śląską,

o nazwisku Paul Mlocek. Był on hakatystą, ale w gruncie rzeczy bardzo dobrym człowiekiem, a przede wszystkim sprawiedliwym. Opowiadał, że w okresie powstań śląskich Polacy wyrządzili mu wielką krzywdę, ale nie on jest powołany do tego, by się mścić. Wymagał od nas dużo, ale również chronił nas jak tylko potrafił i prawie codziennie dzielił się z naszym własnym skromnym śniadaniem.

Drugim nadzorcą był majster Kopaczka, volksdeutsch. O tym, tego co o kowalu Mlocku powiedzieć nie można. Był nierówny, bojaźliwy i niczego dobrego po nim spodziewać się nie mogliśmy. Mimo to przez okres pracy z nami nikogo nie skrzywdził i nikomu nie zaszkodził. Poza nimi był jeszcze jeden majster, Niemiec, i jeden robotnik wolnościowy, Polak. Ten mimo małych możliwości pomagał nam ile mógł i jak mógł. Nad całością czuwał tzw. Maschinenmeister, Niemiec, z którym prawie nie mieliśmy żadnych kontaktów.

Spośród kolegów zatrudnionych z nami zapamiętałem jedynie kilku, a mianowicie: zatrudnionego w charakterze kowala, Romana Kucińskiego, następnie Eugeniusza Wiśniewskiego (Kwiatkowskiego), Arkadiusza Kurzynogę, Feliksa Frelka, Edwarda Podgórskiego, Mieczysława Makówczyńskiego, Franciszka Suchanka oraz stolarza, który zatrudniony był stale przy struganiu palików, potrzebnych do wytyczania robót ziemnych.

Oprawialiśmy łopaty i kilofy w nowe trzonki, jak również naprawialiśmy wagoniki (lorki) służące do przewożenia na budowie piasku. Wykonywaliśmy oprócz tego szereg innych czynności warsztatowych przy naprawie sprzętu budowlanego.

Niejednokrotnie zabierano nas jednak do rozładowywania wagonów z cementem względnie innym żelastwem czy materiałem budowlanym. Mieliśmy wówczas możliwość porównania naszej spokojnej i lekkiej pracy z tą wyładunkową – brudną i ciężką. Zdawaliśmy sobie jasno sprawę, że znajdujemy się w o wiele lepszych warunkach niż reszta kolegów z innych komand. Doceniliśmy to i dokładali wszelkich starań i wysiłków, aby nie uczynić czegoś, co byłoby przyczyną zmian personalnych naszego komanda.

Wśród naszej eskorty lotniczej też byli ludzie zupełnie znośni i wyrozumiali. Byli to żołnierze starzy, nie dbający o wielkość i potęgę III Rzeszy, a jedynie o własną skórę. Pilnowali nas, bo musieli, głową byli za nas odpowiedzialni. Był wśród nich mały lotnik nazwiskiem Keil – komunista niemiecki, który niejednokrotnie, gdy nikt niepowołany tego nie widział, ciskał swój karabin o ziemię, mówiąc „scheiße auf alles” (sram na wszyst-

ko) i prosił, że jeżeli kiedykolwiek zamierzalibyśmy uciekać z obozu, abyśmy i jego zabrali ze sobą, a nie pozostawili go w obozie. Zaskakujące były dla nas te objawy, ale doprawdy prawdziwe.

Obok wykonywanej pracy mieliśmy możliwość robienia tzw. fuch, tj. wykonywanie, ze znalezionych na lotnisku kawałków pleksi, pudełek na papierosy czy do tytoniu. Mistrzem w tych sprawach był Gieniek Wiśniewski. On je wykonywał, ja natomiast ozdabiałem je, grawerując przeróżne monogramy i serca przebite strzałą. Odbiorcami tych pudełek czy innych pierścionków byli nasi wachmani, którzy płacili za nasze wyroby chlebem. I pod tym więc względem byliśmy wygrani. Komando nasze znane było w całym obozie i wśród naszej eskorty lotniczej. Szczególnie rzucał się w oczy nasz wygląd zewnętrzny, wygląd maszerującej dziarsko i sprawnie kolumny. Chodziliśmy sprężystym krokiem wojskowym, śpiewając polskie piosenki, a wśród nich „Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny narodzię...” Byliśmy elitą obozu, przyczyną zazdrości niejednego więźnia i całego obozu.

Pamiętam jak latem każdej wolnej niedzieli, spotykaliśmy się, byli uczestnicy konspiracji, wspólnie w którymś z baraków, opowiadając sobie dawne przeżyte warszawskie dzieje. Snuliśmy różne przypuszczenia i plany na najbliższą przyszłość. I dzisiaj, z odległości przeszło 1 roku, biegnę myślami do tych chwil, jak zebrani razem, złączeni wspólną ideą walki o wolność snuliśmy marzenia i tworzyli Wolną i Niepodległą Polskę.

Owocem tych cichych zebrań było stworzenie najpierw szkieletu, a następnie całej organizacji, która miała za zadanie, w wypadku zbliżania się wojsk wyzwoleniczych, przeszkodzić w wykończeniu naszego obozu, przeciwnie przyspieszyć jego wyzwolenie.

Tymczasem mijał tydzień za tygodniem. Miejsce naszego Lagerältestera Schneidera zajął zupełnie znośny niemiecki Ślązak, mówiący słabo po polsku, Robert Nocoń, który jak większość obecnej naszej ochrony lotniczej nie wierzył w zwycięstwo armii niemieckiej i spełniał swoją funkcję jedynie tak, by władze zwierzchnie obozowe nie miały do niego pretensji. Po Zbyszku Kamińskim funkcję Schreibera objął sędzia z Poznania, Suchowiak, któremu też nic specjalnego zarzucić nie było można.

Tak na pracy i to ciężkiej pracy, przy łopacie i kilofie, mijał dzień za dniem. Ludzie, którzy dotychczas mieli jakie takie zapasy, zaczęły chudnąć i słabnąć. Paczki dochodziły jedynie dla tych, którzy pochodzili z Poznańskiego lub ze Śląska. Nam, z Warszawy, opowiadano różne cuda o powstaniu, o zburzeniu stolicy, o wyniszczeniu połowy ludności w czasie

toczących się walk. Wiadomości te, pochodzące w większości ze źródeł niemieckich, nie znajdowały wśród nas oddźwięku i były uważane jedynie za propagandę niemiecką, zdążającą do zabicia w nas ducha patriotycznego, do zabicia wszystkiego, co polskie. Niestety jednak, gdzieś pod koniec października przybył do nas transport złożony z kilkunastu więźniów – byłych powstańców warszawskich, którzy mieli zastąpić kolegów zmarłych w tym krótkim czasie w naszym obozie.

Od nich dowiedzieliśmy się o upadku powstania, o jego skutkach oraz o bestialskim wymordowaniu mieszkańców Warszawy. Co stało się z moją rodziną? – myślał każdy z nas. Niestety, odpowiedzi nikt nie mógł nam udzielić. Wtedy, w czasie jednej z wolnych niedziel, zebraliśmy się wszyscy sobie znani, byli uczestnicy walk konspiracyjnych z AK, AL, BCh czy NSZ, czy zrutkowie radzieccy i postanowiliśmy, nie czekając na rozstrzygnięcie z zewnątrz, zorganizować ucieczkę.

Nie odstraszyły nas kilkakrotnie powtarzające się wypadki schwywania próbujących ucieczki, a byli nimi przeważnie żołnierze radzieccy. Wiedzieliśmy przecież, jak nad takim schwytanym nieszczęśliwcem znęcano się, jak go bito i torturowano, a potem, w czasie apelu wieczornego, wymalowanego czerwoną farbą, w specjalnie zrobionej czapce błazna, z orkiestrą na czele, pokazywano całemu obozowi. Nieszczęśliwiec maszerując wzdłuż szeregów, wśród ustawicznych uderzeń pałką po plecach i głowie, musiał krzyżeć: „ich bin wieder da”, „ja udirał, mnie wiernuli”, „ja uciekałem, mnie złapali”.

Widoki takie, zdarzające się kilkakrotnie, nie odstraszały nas i nie odwiódły od naszego postanowienia. Za punkt honoru obrał sobie każdy z wtajemniczonych, obmyślenie najbezpieczniejszego sposobu ucieczki, możliwie z powodzeniem i najmniejszymi stratami.

Tymczasem życie obozowe toczyło się dalej, nieczułe na wydarzenia polityczne. Pracowaliśmy, mimo zimna i deszczu w naszych pasiakach, przez 12 godzin dziennie. Izba chorych, gdzie ordynatorem był dr Łukawski wraz z tzw. Revierkapo Gruździółem, typem spod ciemnej gwiazdy, któremu niejednen więzień obiecywał po wyjściu na wolność stryczek, zapełniała się do ostatnich granic. Początkowy stan 40 chorych, powiększył się do 100 i rósł z każdym dniem. Skutkiem braku leków i najprymitywniejszych warunków sanitarnych, śmiertelność również rosła, a doktor Łukawski, mimo niezbyt etycznych posunięć natury osobistej, wychodził ze skóry, by pomóc chorym i nie bacząc, że był pediatrą czy ginekologiem, dokonywał operacji dość poważnych i to z dobrym skutkiem.

Nieszczęście chciało, że do obozu, do izby chorych przysłano nowego Pfliegera (sanitariusza) o nazwisku Dolata, pochodzącego z Ostrowa Wlkp., który miał w naszej izbie chorych, zgodnie z otrzymaną instrukcją, zaprowadzić wzorowy porządek. Pan Dolata, mniej więcej 25-letni młodzian, rozpoczął swe rządy wraz z Ludwigiem od mordobicia wszystkich, począwszy od lekarza, a na chorych skończywszy.

Całe szczęście, że w krótkim czasie pokłócił się on czy pobił z drugim sanitariuszem, Władkiem Suskim, aktorem z Warszawy, który ze względu na kierownictwo teatru obozowego, bo i taki był u nas, miał wielkie fory u naszego „LÄ”, Noconia. Wobec takiej sytuacji wszechwładny i okrutny „Pan” na izbie chorych, Dolata, po kilku tygodniach niechlubnych rządów opuścił nasz obóz i został odtransportowany do centrali w Gross-Rosen.

Jedzenie, jak na warunki obozowe, mieliśmy dość znośne. Przysługiwał nam dodatek dla ciężko i długo pracujących. Kierownictwo naszej kuchni spoczywało w rękach Czechów, którzy znali się na swym fachu i dość smacznie przyrządzali nasze skromne posiłki.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Pogoda aczkolwiek mroźna, była piękna. Myśli nasze kierowały się teraz stale ku naszym najbliższym, ku naszym rodzinom. Ach, jakie inne były te ostatnie święta, kiedy wśród najbliższych przy wieczerzy wigilijnej łamaliśmy się opłatkiem. Jak inaczej one wyglądają dzisiaj, gdy z dala od rodzin, hen daleko od Ojczyzny, pod knutem niemieckim mieliśmy je spędzać. Wieczór wigilijny postanowiliśmy urządzić jak najbardziej po polsku, wśród grona najbliższych kolegów obozowych.

Zebraliśmy się w baraku naszego drugiego Schreiberera (pisarza), ppor. 74 pułku piechoty w Lublińcu, pochodzącego z Piekar Śląskich, Arnolda Kubańskiego, który ze swych obfitych paczek, jakie otrzymywał, przygotował nam wieczerzę wigilijną z choinką i opłatkiem włącznie. I tak zebrani, w liczbie około 20, łamiąc się opłatkiem, życzyliśmy sobie oswobodzenia, Wolnej i Niepodległej Polski oraz szybkiego powrotu na łono swoich najbliższych i najdroższych. Każdy z nas miał w tej chwili oczy pełne łez, gdy trzymając opłatek, myślami przenosił się hen daleko, do stołu wigilijnego swoich najbliższych. Każdy z nas miał wówczas przed oczami zatroskane twarze swoich najbliższych – matek, żon, dzieci. Patrząc wówczas na nas nikt nie powiedziałby, że są to żołnierze, którzy przez okres 4-letniej okupacji walczyli z Niemcami i twardo znosili szykany i tortury naszych prześladowców. W tym nastroju, złączeni wspólną niedolą i wspólnymi marzeniami, przy polskiej kolędzie i deklamacjach,

doczekaliśmy północy. Mniej więcej około godziny 23 wszedł do naszego grona policjant obozowy, Rosjanin Wasyl (nazwiska nie pamiętam), który, jak sam powiedział, aczkolwiek komunista i niewierzący przyszedł do nas, by złożyć w imieniu własnym i swego kraju serdeczne życzenia świąteczne, płynące nie z przymusu, lecz ze szczerego serca. I wówczas tak złączeni, owiani jedną ideą walki z okupantem, wśród cichego śpiewu kolęd i deklamacji, spędziliśmy całą noc wigilijną.

Oficjalnie święta obchodziliśmy w obozie w niedzielę i poniedziałek. W tym dniu dostaliśmy, jak na obóz, bardzo dobre jedzenie, z kotletami i gulaszem włącznie. Kucharze w związku ze świętami mieli moc roboty, bo na małych patelniach musieli usmażyć około 1500 kotletów. Korzystając z ich przepracowania i przemęczenia, poszedłem wraz z moim serdecznym kolegą obozowym, Jasiem Chmielą z Ostrowa Wlkp., z którym dzieliłem łóżko, do kucharki, złożyć im życzenia świąteczne. Korzystając z tego, że Jasio trzymał i ścisnął naszego poczciwego Czecha, ja ładowałem do kieszeni upieczone już kotlety. Z kolei uczynił to samo Jasiu. Wycalowałwszy wreszcie resztę kucharki Czechów i dwóch Polaków, o nazwiskach Trela i Radziszewski, wróciliśmy do baraku, by zrobić bilans naszych zapasów. I o dziwo okazało się, że mamy aż 10 kotletów. Nic też dziwnego, że do końca świąt i jeszcze dłużej mieliśmy z nich używanie jak się patrzy.

Niestety, święta Bożego Narodzenia szybko minęły. Minął również Nowy Rok, zaczął się rok 1945. Wróciliśmy do smutnej rzeczywistości, do ciężkiej i żmudnej codziennej pracy.

* * *

6 stycznia 1945 roku komendant żandarmerii niemieckiej w Poznaniu rozesłał dalekopisem do wszystkich posterunków żandarmerii i policji porządkowej w swoim okręgu pilną informację, następującej treści:

„Kommando 30 więźniów z obozu koncentracyjnego zatrudnione w jednostce lotniczej Brieg (Brzeg) obeszła konwój złożony z 5 żołnierzy Wehrmachtu, prawdopodobnie ich zamordowano, po czym kontynuowało jazdę w kierunku Opola. Wśród więźniów znajduje się były polski kapitan, który prowadzi wóz. Znaki rozpoznawcze wozu – WH-1 208 055, po obu stronach wozu niebieski owalny znak z czarnym czołgiem i niedźwiadkiem. Uwaga – broń palna.

Zważywszy, że zbiegowie znajdują się w posiadaniu broni i mundurów żołnierzy Wehrmachtu, nałożyli więc najprawdopodobniej ich mundury.

Podpisano: Walter pułkownik żandarmerii”.

Dwa dni później, 8 stycznia, wydział kryminalny policji bezpieczeństwa w Poznaniu opublikował nadzwyczajny list gończy, podpisany przez SS-Sturmbahnführera, Kriminaldirektora Kreugera, nakazujący „energiczny pościg”. List zawierał trochę więcej informacji. Ucieczka nastąpiła w czasie jazdy z jednostki lotniczej w Pampitz (Pępcice) do Opola i że odnaleziono samochód wraz z eskortą. Zbiegowie przebywali wówczas nadal na wolności, a ich nazwisk i innych danych personalnych jeszcze nie ustalono. W istniejących niemieckich dokumentach, dostępnych nam, brak dalszych informacji, które jako jeden z uczestników, a zarazem i organizatorów tej ucieczki, postaram się przedstawić.

Opis tych wydarzeń spisałem w początkach 1946 roku, prawie na żywo i moim zdaniem wiernie odzwierciedlają one historię tej swego rodzaju tragedii.

Dnia 5 stycznia 1945 roku, o godzinie 5 rano wysłano z naszego obozu do centrali w Gross-Rosen i dalej, jak nam mówiono, do Mauthausen-Gusen 30 więźniów³. Byli to koledzy z grupy Polaków aresztowanych we Wrocławiu. Wśród tej garstki odjeżdżających było dwóch moich serdecznych kolegów, z którymi szczególnie zaprzyjaźniłem się w obozie.

Jasia Chmielę z Ostrowa Wlkp. i Felka Radziszewskiego [w oryginale Rozciszewskiego – przyp. wyd.] również z tego miasta, który jako kucharz niejednokrotnie zaspokajał mój głód – potajemnie podawał talerz gorącej zupy czy też przynosił dobrze ukryty pod pasiakiem kawałek chleba – pożegnałem szczególnie serdecznie i ze łzami w oczach.

W ostatniej chwili pożegnania szepnąłem im, że i ja długo w obozie nie pozostanę. Słowa te dla wyjeżdżających były niezbyt zrozumiałe, ja natomiast miałem na myśli ucieczkę, która od dawna przygotowana i kilkakrotnie odkładana, właśnie dzisiaj miała nastąpić.

Po smutnym pożegnaniu i odjeździe naszych kolegów, nastąpił normalny apel poranny. Znowu minęły trzy długie kwadransy, zanim wszechwładny „Pan Rura” zameldował Lagerältesterowi – „anzahl stimmt” (stan się zgadza).

Na nasze komando czekał już za drutami samochód ciężarowy „Opel-Blitz” z przyczepą. Muszę tutaj wyjaśnić, że od paru dni zmieniłem komando, co zresztą nie przyszło mi łatwo. Jak zwykle w takich wypadkach niezawodną okazała się łapówka żywnościowa wręczona któremuś z funkcyjnych. Od kilku dni stworzono w naszym obozie nowe komando

³ Część więźniów z tego transportu pozostała w obozie głównym aż do ewakuacji.

zwane „Schokoladenkommando”. Był to oddział składający się z 30 więźniów, którzy codziennie wyjeżdżali do miejscowości Löwen, położonej około 16 km od obozu, do robót przy porządkowaniu i urządzaniu nowych magazynów żywnościowych, ewakuowanych ze wschodu.

Kilku kolegów, którzy byli zatrudnieni w nim od początku, stwierdziło, że właśnie z tego komanda istnieją zupełnie realne szanse ucieczki. Wszelkimi więc sposobami staraliśmy się do niego przedostać. I tak prawie codziennie kilku z wtajemniczonych kolegów powiększało grono w „Schokoladenkommando”, a inni musieli je opuścić. Ja byłem jednym z ostatnich, którzy zamknęli listę wtajemniczonych w ucieczkę.

Jak codziennie podszedł do naszej grupy „LÄ” – starszy obozu, Robert Nocoń, by osobiście po dokładnym obliczeniu wypuścić nas za bramę i przekazać czekającej tam eskorcie. Tym jednak razem tknięty jakimś podejrzeniem, podszedł do nas, obrzucił grupę więźniów krytycznym wzrokiem, obejrzał dokładnie każdego i widząc wśród wyjeżdżających samych młodych ludzi, ludzi jak na stosunki obozowe dobrze trzymających się i dobrze prezentujących, ludzi, których dobrze znał, i do których nie miał specjalnego zaufania, a może podświadomie podejrzewając jakiś podstęp, oddzielił od naszej grupy dwie piątki więźniów. Wcielił ich do innego komanda, a na ich miejsce przydzielił 10 więźniów z innego. Byli to ludzie starzy, fizycznie słabi, a najważniejsze zupełnie obcy i nie wtajemniczeni w plan ucieczki. Przydzielił również do naszej grupy swego zaufanego kapo, Henryka Zawieruchę. W nowym składzie i z nowym kapo wsiedliśmy do oczekującego nas za bramą samochodu.

Mimo tych nieoczekiwanych dla nas zmian, jak zwykle ze śpiewem, pojechaliśmy do magazynów, stałego obecnie naszego miejsca pracy. Po przyjeździe na miejsce i błyskawicznej cichej naradzie postanowiliśmy, mimo 10 „nowych”, kontynuować plan naszej ucieczki. Podyktowane to było zdenerwowaniem kolegów, na skutek kilkakrotnego odkładania terminu ucieczki. Koledzy, mimo surowego zakazu, zaczęli rozprawiać między sobą o jej planie. Zważywszy to wszystko oraz mając na uwadze, że nowo przydzieleni również są Polakami i więźniami politycznymi, postanowiliśmy, nie wtajemniczając ich, plan nasz wprowadzić w życie. Wierzyliśmy, że w czasie akcji będą oni posłuszni naszym rozkazom.

W dniu tym praca nasza ograniczała się jedynie do przeniesienia kilkudziesięciu skrzyń z koniakami i winem oraz do uporządkowania samego magazynu. Następnego dnia miała się odbyć inspekcja magazynów przez jakiegoś generała.

Wachmani, którzy zazwyczaj pilnowali nas wewnątrz magazynów, tym razem zaciągnęli posterunki na zewnątrz, wokół magazynów. Ponieważ jednak mróz był dość silny, zmarznięci wpadali do magazynów, by trochę posiedzieć i nieco się rozgrzać przy zainstalowanym w magazynie piecyku.

Moment ten wykorzystali koledzy, wyciągnęli z przenoszonych skrzynek kilka butelek przedniego francuskiego koniaku i kolejno wręczali po butelce każdemu przychodzącemu do magazynu wachmanowi. Ci, zadowoleni z takiego poczęstunku, nie bacząc, że jest to koniak kradziony z magazynu, chwyтали potajemnie butelki i natychmiast ulatniali się, by stojąc na zewnątrz, gdzieś za węglem budynku, nie widziani przez nikogo, pociągać mocno rozgrzewający trunk.

Pracę naszą, która zwykle przeciągała się do późnego wieczora, w tym dniu zakończyliśmy około godziny 13. Do normalnego więc powrotu do obozu mieliśmy kilka godzin. Po sprawdzeniu obecności i zdaniu raportu zadowolonemu z naszej pracy kierownikowi magazynów, jakimś „Zahlmeisterowi” jak go nazywano, załadowano nas do czekającego samochodu ciężarowego. Podchmielonych, a można nawet powiedzieć pijanych wachmanów szybko zdołaliśmy namówić, aby przenieśli się z przyczepy, gdzie mieli umieszczone taborety i gdzie jechali z obozu do miejsca pracy, do nas pod plandekę, gdzie było bardziej zacisznie i ciepło. Przenieśliśmy więc szybko ich taborety z przyczepy i ustawiliśmy pod plandeką przy tylnej klapie samochodu.

„Zahlmeister” i podoficer dowodzący ochroną, widząc podchmielonych wartowników nie sprzeciwiali się i milczeniem zezwolili na tę samowolną zmianę miejsca. Po załadowaniu ciężarówki i zajęciu miejsc, jak zwykle ze śpiewem piosenki „Marsz, marsz Polonia”, ruszyliśmy w drogę powrotną. Sam, wsiadając jako jeden z ostatnich, umieściłem się między taboretami wartowników, siedząc na krawędzi tylnej klapy samochodu, trzymając się za pałąk, gdzie zawinięta była brezentowa plandeka odsłaniająca wnętrze samochodu.

Podchmielonym wartownikom również udzielił się nasz nastrój i humor. Śpiewali swoje żołnierskie piosenki, a jeden z nich, Czech z pochodzenia, wykrzykiwał co chwila – „Niech żyje Złota Praha”. W kilkanaście minut od wyruszenia, korzystając z wesołego nastroju wartowników i ich chwilowej nieuwagi, błyskawicznie ściągnąłem plandekę zasłaniającą wgląd do samochodu, z równoczesnym okrzykiem: „Chłopcy – dusić ich”.

Wśród nie milknącego śpiewu rzucili się koledzy na wartowników. Nie minęły dwa pacierze, jak leżeli pod ich kolanami. W parę minut później, mieli już powiązane, przygotowanym uprzednio drutem, ręce i nogi, i cicho rżęzili przez zakneblowane własnymi szalikami usta. Nowo przydzieleni i nie wtajemniczeni w plan ucieczki więźniowie, nie wiedząc, co się wokół nich dzieje, przezornie usunęli się w najdalszy kąt auta, patrząc jedynie z przerażeniem na to, co się wokół nich stało.

Akcję naszą rozpoczęliśmy pomyślnie, ale do doprowadzenia jej do końca należało jeszcze obezwładnić podoficera i kierowcę, jadących w szoferce. Znow przy piosence „Marsz, marsz Polonia” Mietek Dukalski, główny organizator ucieczki, oficer marynarki handlowej, zaczął bić pięściami w ściankę szoferki, krzycząc równocześnie, by zatrzymać samochód. Przykryci zewsząd plandeką nie zauważyliśmy, że w chwili tej przejeżdżaliśmy przez jakieś małe osiedle. Po kilkakrotnych uderzeniach samochód zatrzymał się, na nasze nieszczęście przed jakąś niemiecką zagrodą.

W międzyczasie odpięliśmy klapę samochodu i bezpośrednio po jego zatrzymaniu zeskoczyłem z kol. Zygmuntem Ulfikiem, mówiącym doskonale po niemiecku, na ziemię. Dowódca eskorty, który po zatrzymaniu auta natychmiast wyskoczył z szoferki, ujrawszy nas koło samochodu, wyciągnął pistolet i skierował go w naszym kierunku. Jednak Ulfik zdołał mu szybko wyjaśnić, że wewnątrz auta pijani wachmani pokłócili się i pobili między sobą. Podoficer pamiętający, że byli oni podchmieleni, szybko w to uwierzył, schował do kabury pistolet i ze słowami „Ach, mein Gott”, ruszył do pudła samochodu.

Korzystając z tego wraz z Zygmuntem Ulfikiem i kilkoma kolegami, którzy zdążyli zeskoczyć na ziemię, rzuciłem się na podoficera, by go obezwładnić i wciągnąć do samochodu. Inni koledzy, już z bronią w ręku, obezwładnili kierowcę, który dobrowolnie poddał się i jedynie prosił o darowanie mu życia, błagając, że ma żonę i dzieci.

Tymczasem podoficer widząc swoją pomyłkę, dostał niebywalej siły i nie mogliśmy go w kilku wciągnąć do wnętrza auta. Dopiero potężny cios między oczy zaćmił go nieco i odebrał na chwilę siły, z czego szybko skorzystaliśmy i wciągnęliśmy go do samochodu. Zajęci szamotaniem się z podoficerem nie zauważyliśmy, jak nasz kapo, Henryk Zawierucha, skorzystał z naszej nieuwagi, wyskoczył z auta i począł uciekać w stronę zabudowań niemieckich. Nie pomogły nasze nawoływania. Udawał, że ich nie słyszy i szybko schronił się między budynki. Po chwilowej konster-

nacji i krótkiej naradzie, postanowiliśmy, nie bacząc na kolej wypadków, uciekać dalej. Jak najdalej od miejsca tego zajścia, w kierunku Polski, by jak najszybciej, jeszcze przed zorganizowaniem pościgu, przejechać w Opolu most na Odrze.

Z bijącymi sercami i modlitwą na ustach pojechaliśmy dalej. Za kierownicą zasiadł Mietek Makówczyński, prowadząc brawurowo auto, na zmianę z Edkiem Podgórskim.

Rozdzieliwszy broń, przebrani w czapki wachmanów, płaszcze oraz podzieliwszy się funkcjami, przygotowani na wszystko, w niedługim czasie ujrzelśmy zabudowania Opoła.

Z bijącym sercem i duszą na ramieniu przejechaliśmy szczęśliwie długi most na Odrze. Jechaliśmy obok posterunku żandarmerii, którzy na środku mostu zatrzymali kilka aut, kontrolując dokumenty. Zobaczywszy to nasz kierowca dodał gazu i nie zatrzymany przez nikogo, wśród grobowej ciszy, największym pędem jaki mógł wydobyć z samochodu, przeskoczył Odrę. Nie zatrzymani, szczęśliwi, jednak w wielkim strachu ujrzelśmy przez szpary w plandekach, że stojący na moście żandarmi, ze zdziwieniem popatrzyszy na pędzący samochód, zapisali jego numery.

Z pewną ulgą i nadzieją na dalszą szczęśliwą podróż, jechaliśmy już wolniej przez ulice pięknego Opoła. Ściskając zimne lufy karabinów, patrzyliśmy z przerażeniem na kompleksy budynków, które roiły się masą żołdactwa niemieckiego. Jeden niebaczny ruch, jedno nieostrożne zachowanie któregoś z nas, względnie najmniejsza kontrola ze strony Niemców, doprowadziłaby do zguby 29 odważnych straceńców. Chyba nie było wśród nas takiego, który nie odczuwałby w tym momencie strachu i żarliwie nie modlił się, widząc na każdym kroku uzbrojonych żołnierzy i czując swoją bezsilność. Byliśmy przy tym duchowo załamani zdradą naszego kapo.

Odetchnęliśmy nieco, gdy zniknęły nam z oczu zabudowania Opoła i wjechaliśmy na szosę prowadzącą wśród lasów w kierunku miasta Gutentag (Dobrodzień).

Wśród najwyższego napięcia nerwów, przygotowani na wszystko, wyglądając jedynie przez szpary w plandecy, liczyliśmy minuty i mijane kilometry. Odczuwaliśmy dziwne i różne uczucia. Było wielu takich, którzy przeklinali w duchu, a nawet niektórzy i głośno, że dali się namówić na tę ucieczkę. Większość jednak zacisnąwszy pięści, modląc się, była przygotowana na wszystko. Z jednego zdawaliśmy sobie sprawę wszyscy, że ucieczka nam się nie uda, że prędzej czy później dogoni nas zorganizowany pościg, względnie wpadniemy w przygotowaną pułapkę i podzielimy

wszyscy jednakowy, znany nam, los. Przeklinaliśmy również naszego kapo, Henryka Zawieruchę, który niechybnie zawiadomił już o naszej ucieczce władze niemieckie.

Tymczasem mijaliśmy kilometry i stale oddalaliśmy się od Opola. Szosa prowadziła wśród wysokopiennego lasu iglastego, który stwarzał nam pewnego rodzaju odskocznnię i to dodawało nam otuchy.

Na 16 kilometrze na wschód od Opola, w kierunku na Gutentag (Dobrodzień), ujrzeliśmy na szosie pędzące za nami auto ciężarowe. Maleńki zrazu punkcik rósł z każdą minutą. Spodiewając się w każdej chwili pościgu, oczami wyobraźni, w wielkim strachu, widzieliśmy w pędzącym za nami samochodzie zorganizowaną przez kapo pogoń. Byli i tacy, którzy widzieli stojących na stopniach samochodu uzbrojonych żołnierzy niemieckich.

Mimo dość znacznej szybkości jaką rozwijał nasz opel, odległość między obu autami malała z każdą chwilą. Teraz nie było już żadnej wątpliwości, przynajmniej w naszej strachem wyolbrzymionej imaginacji, że pędzą za nami pościgowe samochody żandarmerii. Ogarnęła nas panika. Jedni zaczęli beładnie krzyczeć, by skręcić w las, inni, by zatrzymać auto. Tymczasem nasz kierowca, nie widząc, co się za nim dzieje, a słysząc nasze beładne rozkazy, zatrzymał auto. Moment ten wystarczył, wszyscy zaczęli wyskakiwać z pudła samochodu i uciekać do lasu. Porzuciwszy wraz z innymi auto, już ze skraju lasu zobaczyłem, że nie jest to żaden pościgowy samochód żandarmerii, a jedynie zwykła wojskowa ciężarówka z kilkoma żołnierzami.

Tymczasem, nie pilnowani już przez nas, wachmani odblokowali sobie usta i zaczęli w przeraźliwy sposób krzyczeć, wzywając pomocy. Żołnierze z wyprzedzającego nas samochodu, usłyszawszy krzyki, a widząc już przedtem uciekających gęsiego od samochodu w stronę lasu ludzi, zatrzymali się i uwolnili wzywających pomocy. My tymczasem gęsiego, tak jak wyskakiwaliśmy z auta, pędziliśmy w głąb lasu.

Oceniając teraz beznadziejność sytuacji, każdy z nas wątpił w powodzenie ucieczki. Wszyscy już wiedzieliśmy, że czeka nas, oprócz strasznych tortur, jedynie stryzynek. Mimo to pędziliśmy wszyscy na oślep, byle dalej do lasu, byle dalej od szosy. W tym widzieliśmy nasz jedyny ratunek. Pędząc tak z duszą na ramieniu, potykając się o wystające korzenie, wywracając o gałęzie, raniąc twarze niskimi konarami drzew, pomni jedynie na to, co nas czeka, uciekaliśmy z wywieszonymi językami w głąb lasu. Skrobaliśmy się przez kilkumetrowej głębokości rowy przeciwczołgowe,

którymi poprzecinany był cały las. Drapiąc palcami suchy piasek, nie bacząc na rany i krew płynącą po rękach i twarzach, uciekaliśmy jedynie dalej od kierunku skąd mógł nadejść pościg. Dwóch kolegów z naszego grona, a mianowicie Zygmunt Ulfik i Tadeusz Kowalski, widząc beznadziejność w takiej gremialnej bezładnej ucieczce, odłączyło się od reszty grupy, myśląc, że we dwóch łatwiej ujdą pościgowi i zdołają się gdzieś ukryć, względnie bezpiecznie odskoczyć. Właśnie ci dwaj byli przyczyną pierwszych naszych nieszczęść.

W jakiś czas później, podchodząc do skraju pewnych zabudowań, ujrzeliśmy idących dwóch ludzi. Myśleliśmy, że to nasi koledzy i bez obawy zbliżyliśmy się w ich kierunku, tym bardziej, że niektórzy widzieli w zbliżających się podobieństwo do Ulfika i Kowalskiego. Niestety, był to patrol Volkssturmu, który przyjął nas ogniem z karabinów. Na odgłos strzałów poznaliśmy, że zaszła okropna pomyłka, że są to Niemcy biorący udział w zorganizowanym już pościgu. I teraz, tak jak biegliśmy, wszyscy zaczęli uciekać w odwrotnym kierunku, pędząc w panicznym strachu, znów byle prędzej, byle dalej od strzelających za nami volkssturmistów. Uciekając tak wraz ze wszystkimi widziałem, jak śmiertelnie raniony padł twarzą na ziemię kol. Zdybalski z Krakowa i Raszewski z Warszawy. Równocześnie ze wszystkich prawie kierunków dały się słyszeć inne strzały. Teraz nie było już wątpliwości, że nie zdołamy ujść cało z tej opresji i zorganizowanego ze wszystkich stron pościgu. Biegnąc tak jeszcze kilkaset metrów, odskoczyliśmy od goniącego nas patrolu. Po pewnym czasie udało się zatrzymać całą grupę w jakiejś gęstwinie leśnej, by wreszcie jakoś zorganizować luźną bandę uciekinierów i powziąć jakiś plan. Wszyscy doszliśmy do jednego wniosku, że tak jak idziemy w dużej gromadzie daleko nie zajdziemy, że musimy podzielić się na mniejsze grupki. Wtedy może którejs z grup uda się prześlizgnąć przez kordon goniących i szczęśliwie umknąć przed zorganizowanym pościgiem.

Podzieliiliśmy się więc na grupki.

Ja znalazłem się wśród 4 innych kolegów, z których zapamiętałem jedynie Poldka – Apolinarego Pawlaka i Władka Sankowskiego, obaj z Warszawy. Tymczasem zapadł zmrok. Przeczekaliśmy aż zrobi się zupełnie ciemno, by pod osłoną nocy wyślizgnąć się z otaczającego nas pierścienia goniących szkopów. Wyszliśmy na skraj lasu. Jakaś cisza złowroga otaczała nas, przerywana jedynie ujadaniem psów z sąsiednich zabudowań. Zdecydowaliśmy się na kierunek, w którym postanowiliśmy iść. Kierowaliśmy się przy tym jedynie instynktem, gdyż zrobiło się zu-

pełnie ciemno, a ciężka mgła zasłoniła całe niebo i gwiazdy, jedyne nasze drogowskazy w dalszej uciążliwej i niebezpiecznej wędrówce. Czołgając się metr za metrem, teraz już z wielką ostrożnością, baczni na każdy odgłos, na każdy krzak, posuwaliśmy się powoli naprzód.

Gołe ręce, dotykające przy czołganiu śniegu i zmarzniętej ziemi, były tak skostniałe i tak zbolące, że zupełnie rozprostować ich nie mogliśmy. Każdy ich najmniejszy ruch przy czołganiu sprawiał nam nieopisany ból. Powoli pełznąć po ziemi, nad słuchując i widząc w każdym krzaku, w każdym drzewie czekającego na nas w zasadzce wroga, przebrnęliśmy szczęśliwie około 2 kilometrów otwartej przestrzeni pokrytej śniegiem. Przestrzeń, w której w każdej chwili mogliśmy być zauważeni przez tropiącego nas wroga. Zatrzymawszy się w pewnym miejscu dla wytchnienia, uniknęliśmy zetknięcia się z patrolem niemieckich żołnierzy, którzy na rowerach i motocyklu przejechali w pędzie obok nas. Obecnie pod osłoną rosnących drzew przesualiśmy się jakimś zagajnikiem, z dala od osiedli ludzkich, skąd dochodziły nas pojedyncze strzały oraz przeraźliwe, nie dające nam spokoju, ujadanie psów.

Idąc w nieznanym kierunku, brodząc po śniegu doszliśmy do szosy, którą przeskoczyliśmy w największym milczeniu. W międzyczasie zaczął padać śnieg, który całkowicie uniemożliwił nam orientację w terenie.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę, że napotykanie kilkakrotnie na naszej drodze szosy, były jedną i tą samą, a my jedynie, nie mając orientacji w terenie, błędziliśmy w kółko, przeskakując ją kilkakrotnie.

Największą tragedią dla nas była nieświadomość naszego kierunku marszu. Brnęliśmy już prawie całą noc nie wiedząc, czy idziemy w kierunku kraju, czy też zbliżamy się z powrotem do obozu. Tymczasem zaczęło świtać. Wyraźnie odróżniliśmy kontury wsi leżącej przed nami. Tam też skierowaliśmy nasze kroki, by może dzięki drogowskazowi, jaki spodziewaliśmy się tam zobaczyć, w końcu zorientować się, gdzie właściwie się znajdujemy. I rzeczywiście na skraju wsi, z dala ujrzelśmy żółty z czarnymi literami napis: „Nach Radau [obecnie: Radawie – przyp. wyd.] 4 km”. Niestety, to „Radau” nic nam nie mówiło. Ponieważ zrobiło się już zupełnie widno i o dalszym marszu mowy być nie mogło, zatrzymaliśmy się w małym zagajniku w odległości mniej więcej 500 metrów od zabudowań. Wybraliśmy specjalnie mały lasek, gdyż spodziewaliśmy się, że w dużym będą węszyły za nami patrole, które nigdy nie będą szukały zbiegów w małym zagajniku i to zaledwie 500 m od zabudowań wiejskich. Prześlizgnęliśmy się prawie przez podwórze jednego z gospodarstw, gdzie

przed chatą stało kilka mlekiem wypełnionych baniek, przygotowanych do wywozu do miasta. Wiele zaparcia i silnej woli trzeba było wykazać, aby nie zatrzymać się i nie napić mleka z bańki. Paliła nas straszna gorączka i pragnienie, a i głód również zaczynał dawać się we znaki.

W zagajniku wybraliśmy najbardziej zakryte i zarośnięte miejsce. Postanowiliśmy tutaj spędzić całą sobotę – pierwszy dzień naszej niefortunnej ucieczki. Rozłożyliśmy się więc na śniegu pod krzakami, maskując swoje stanowisko gałęziami sosny. Tak zziębnięci, głodni, przemoczeni, z duszą na ramieniu przeleżeliśmy cały pierwszy dzień. Byliśmy jacyś odrętwiali, obojętni na wszystko, co się wokół nas działo oraz na to, co się z nami stanie.

O zmierzchu ruszyliśmy dalej. Znów omijając wsie i wszelkie zabudowania, brodziliśmy przemoczeni, zziębnięci, wpadając nieraz w ukryte pod śniegiem strumyki czy rowy wypełnione wodą. Podarłem już na strzepy duży wełniany szalik i owinąłem nim otarte w drewniakach skostniałe nogi. Szliśmy na przelaj, byle prędzej, w nieznanym kierunku. Co pewien czas oglądaliśmy skrupulatnie mijane drzewa, by po mchu poznać, w którym kierunku znajduje się północ. Niestety, każde drzewo wskazywało inaczej. Znów brnęliśmy dalej, kierując się jedynie intuicją i instynktem. Oczy nasze wypatrujące stale jakiejś niespodzianki, były tak zmęczone, że w samotnych krzakach rosnących na otwartym polu widzieliśmy najpierw jadący wóz, a przecierając oczy – stojącego Niemca, by za chwilę zobaczyć w nim maszerujące wojsko, wreszcie po nabraniu odwagi, iść i stwierdzić, że jest to jedynie pojedynczy krzak jeżyn lub jałowca. Zmęczeni i zziębnięci zatrzymywaliśmy się stale, by na chwilę odpocząć. Niepomni wówczas na śnieg i około 5-stopniowy mróz, wyczerpani, zasypialiśmy natychmiast kamiennym snem, by za chwilę zbudzeni przez kogoś z nas, dalej maszerować. Tak posuwając się, dobrnęliśmy w niedzielę nad ranem do pewnej wsi leżącej na skraju olbrzymiego lasu.

Zgłodniali, nie zwracając uwagi na grożące zewsząd niebezpieczeństwo, rozgrzebaliśmy w jednej z zagród kopiec z ziemniakami, z którego każdy wziął sobie ich kilkanaście, by potem w gęstwinie leśnej rozpalić ognisko, upiec je i zjeść jako pierwszy posiłek od piątku rano, od obozowego jeszcze śniadania. Tymczasem schroniliśmy się w zagajniku olbrzymiego wysokopiennego lasu. Rozpaliliśmy maleńkie ognisko i upiekliśmy po parę ziemniaków. Po spożyciu ich i krótkim odpoczynku, gdy już wzeszło słońce, wybrałem się z Władkiem Sankowskim na zwiady, by wreszcie dowiedzieć się, gdzie właściwie znajdujemy się, po dwóch nocach uciąż-

liwego marszu. Pozostawiliśmy resztę towarzyszy w zagajniku, a sami skierowaliśmy swe kroki w kierunku z dala widniejącej wsi. W wielkim strachu i z nadzwyczajną ostrożnością przeszliśmy przez nią, nie zauważeni przez nikogo i nie spotkawszy żywej duszy. Poszliśmy dalej do następnej. Po przejściu mniej więcej 3-4 kilometrów, po prawej stronie, ponad małym zagajnikiem, przez który przechodziliśmy, ujrzelśmy szosę. W nadziei, że tutaj zobaczymy jakiś drogowy znak z nazwą jakiejś znanej miejscowości, weszliśmy na szosę. Zasugerowani swym zadaniem, nie zauważyliśmy patrolu Volkssturmu, który obserwował nas chwilę i natychmiast puścił się za nami w pogoń nie po szosie, lecz na przełaj przez las, odcinając nam tym samym drogę odwrotu. Spostrzegłszy to, natychmiast skoczyliśmy z powrotem do lasu. Niestety, Niemcy biegli w stosunku do nas po przekątnej i musieliśmy, mimo zmęczenia i niewygodnych butów, wszystko z siebie wydobyć, by nie dać się dogonić. Volkssturmiści widząc nas uciekających, z równoczesnymi okrzykami: „halt, halt”, strzelali z pistoletów i gonili za nami. I tym razem mieliśmy jednak szczęście. Mimo małej między nami odległości nie trafili żadnego. I w pewnym momencie, wystrzelawszy całą posiadaną amunicję i widząc bezskuteczność swej pogoni, gdyż odległość między nami, początkowo minimalna, stale rosła, po kilkukilometrowej gonitwie zaniechali dalszego pościgu.

Zzajani, zmęczeni, podrapani przez gałęzie odetchnęliśmy z ulgą, gdy przekonaliśmy się, że nasi prześladowcy zaprzestali pościgu. Wolno już, przez największe gęstwiny skierowaliśmy się drogą okrężną do reszty naszych współtowarzyszy. Po parogodzinym uciążliwym błędzeniu, w drewniakach podbitych kupą śniegu, klucząc, dobrnęliśmy właściwie z niczym do kolegów, którzy niecierpliwie oczekiwali na nasz powrót i jakieś pocieszające wiadomości. Trudno mi dzisiaj wytłumaczyć, w jaki sposób trafiliśmy do naszego legowiska, chyba jakimś jedynie nieokreślonym instynktem, ponieważ brnęliśmy nie jakimiś drogami, a na przełaj.

Byliśmy na tyle zmęczeni, że wchodząc do zagajnika, w którym pozostawiliśmy naszych kolegów, nie zatarliśmy za sobą i tak już od nocy widocznych śladów na śniegu. Ta nasza nieuwaga była powodem kolejnej naszej wyspy.

Dotarłszy do czekających kolegów legliśmy na śniegu, wyczerpani do ostatnich granic wytrzymałości. Zasnęliśmy kamiennym snem. Nie danym było nam jednak długo odpoczywać. Spaliśmy może ze dwa kwadransy. Wtem jeden z kolegów, szarpiąc mnie za rękę, krzyknął do ucha: „wstawaj, ktoś idzie”. Nie namyślając się, zerwałem się na równe nogi i skoczyłem

w zagajnik, gdyż nie opodal usłyszałem trzask łamanych pod stopami gałęzi. Skacząc w gęstwinę, usłyszałem ryk: „Ohne Bewegung” oraz strzał z kb w naszym kierunku, na szczęście niecelny.

To patrol Volkssturmu obchodząc las, a może idąc po naszych śladach, trafił na nasze legowisko. Znów uciekaliśmy jak szczute zające, aż do zmierzchu gonieni i ostrzeliwani przez wściekłych szkopów. Dopiero zapadający szybko zmrok położył kres pościgowi za nami. Uciekając wraz z Władkiem Sankowskim zgubiliśmy się z resztą współtowarzyszy, którzy w momencie pierwszego strzału odskoczyli w innym kierunku. Zziajani, zmęczeni, goniąc resztkami sił usiedliśmy obok siebie, by zastanowić się, co robić dalej. Dobiegał trzeci dzień naszej ucieczki, a do tej pory nie wiedzieliśmy, gdzie się znajdujemy.

Siedząc, półdrżąc, zastanawialiśmy się nad naszym ciężkim i beznadziejnym położeniem i słabymi widokami na przyszłość. W pewnej chwili usłyszeliśmy, ledwo dający się uchwycić uchem, odgłos jadącego w oddali pociągu. Odgłos ten uznaliśmy za ostatnią deskę ratunku i tam postanowiliśmy pójść. Odpocząwszy nieco, zbudzeni przejmującym zimnem, przemoczeni, powlekliśmy się dalej, w kierunku skąd doszedł nas odgłos jadącego pociągu. Odpoczywając i zasypiając co pewien czas, wreszcie gdzieś nad ranem dotarliśmy do toru kolejowego, który uznaliśmy za nasze zbawienie. Początkowo mieliśmy zamiar jedynie obserwować nasyp kolejowy i czekać na jakiś przejeżdżający pociąg, by rozpoznać możliwość wskoczenia do niego, względnie zobaczyć tablice z nazwami miejscowości, przez jakie przejeżdża, by wreszcie zorientować się przy jakiej trasie się znajdujemy. Po może półgodzinnym czekaniu, nie widząc nadjeżdżającego pociągu, poszliśmy wzdłuż torów, w prawo od kierunku skąd przybyliśmy. Tym bardziej, że zaczęło się przecierać i spodziewaliśmy się świtu. Idąc wzdłuż torów zauważyliśmy idącego szybkim krokiem, również w naszym kierunku, człowieka. Zaczailiśmy się pod krzakiem i gdy ten zrównał się z nami, wyskoczyliśmy, zatrzymaliśmy go i w języku polskim zapytaliśmy dokąd idzie. Ten, ku naszemu zdziwieniu, odpowiedział również po polsku, że jest Niemcem, ale mówi po polsku, że idzie na stację kolejową i chce jechać do Wrocławia do synów, którzy tam służą w wojsku i mają głód, i dlatego wiezie im trochę jedzenia. Następnie zapytany powiedział, że tor ten prowadzi z Wossowskiej⁴ do Opola. Ponieważ przed wojną mieszkałem w Lublińcu, w miasteczku przygranicznym i orientowałem się w miejsco-

⁴ Poprawna nazwa niemiecka – Vossowska; obecnie: Fosowskie.

wościach i liniach kolejowych leżących po stronie niemieckiej, a nazwa Wossowskie nie była mi obca, zapytałem, jak daleko jest do Gutentagu (Dobrodzień). Niemiec odpowiedział, że daleko, może ze 40 km, ale do Rosenbergu (Olesno) jest tylko 10 kilometrów.

Otrzymawszy wskazówki którędy można się tam dostać oraz duży bochenek chleba, który wiozł dla synów do wojska, jak również przyrzeczenie, że nikomu nie powie o naszym spotkaniu, poszliśmy oddzielnie w jednym kierunku. Tymczasem zaczęło już świtać. Z wielkim bochenkiem chleba pod pachą wkroczyliśmy, nie opodal małej stacyjki kolejowej, na szosę z drogowskazem „Nach Rosenberg 10 km”.

Posuwaliśmy się powoli naprzód. Tak maszerując, szczęśliwie dobrnęliśmy do wsi Kudoba [obecnie: Chudoba – przyp. wyd.]. Zrobiło się zupełnie jasno. Na wieży drewnianego kościoła ujrzelśmy zegar, który wskazywał 7.50. Po drodze spotkaliśmy kilka kobiet i starców spieszących do kościoła na ranne nabożeństwo. Jedna z kobiet, obejrawszy nas podejrzliwie, nie weszła wraz z innymi do kościoła, a skręciła do restauracji i, jak później mieliśmy możliwość przekonać się, telefonicznie zawiadomiła o naszym marszu Volkssturm w następnej wsi Leibeiche [obecnie: Wędrynia – przyp. wyd.]. Nie przeczuwając żadnego podstępu ze strony modlących się ludzi, przeszliśmy śmiało całą wieś Kudoba i pomaszerowaliśmy w kierunku wsi Leibeiche.

Mniej więcej w połowie drogi między obu miejscowościami minął nas na rowerze jakiś młody Niemiec. Baczenie na nas popatrzył, zawrócił i krok za krokiem za nami jechał. Obejrawszy się w pewnym momencie, zauważyłem, że Niemiec lewą rękę trzyma na kierownicy roweru, w prawej zaś ściska duży pistolet wymierzony w naszym kierunku. Równocześnie usłyszałem: „geradeaus”. Na widok ten i odgłos struchlałem, a do Sankowskiego, idącego z mojej lewej strony i niosącego nie tknięty jeszcze bochenek chleba, zdołałem tylko szepnąć: „wpadliśmy”.

I tym razem, aczkolwiek sytuacja wydawała się być dla nas beznadziejna, nie upadłem na duchu i rozmyślałem nad możliwościami wymknięcia się z pułapki i szczęśliwej ucieczki. Idąc pod eskortą, nie spuszczeni z oka, analizowałem warunki terenowe oraz szanse ucieczki.

Po drodze, mniej więcej w połowie odległości do następnej wsi, po obu stronach szosy stały dwa zabudowania gospodarcze. Miejsce to obrałem sobie już z dala na miejsce naszej ucieczki. Posuwając się pod bacznym okiem eskortującego nas Niemca, zdołałem szepnąć współtowarzyszowi: „wpadliśmy i tak kula w łeb – wiejemy przy tych chałupach, ja w prawo,

ty w lewo, może uda się zwiać”. Skinięciem głowy Władek zgodził się na mój plan. Z napięciem wszystkich nerwów, doszedłszy do wspomnianych zabudowań, skoczyłem w prawo z równoczesnym hasłem dla Sankowskiego – „uciekaj”.

Nie oglądając się za siebie, usłyszałem kilka strzałów oraz świszczące nad moją głową kule. Nie zważając na nie dopadłem jednym susem zabudowań gospodarczych, przesadziłem jakiś płot, kierując się w stronę czerniejącego z dala lasu. Będąc w połowie drogi między zabudowaniami a lasem obejrzałem się, ciekawy co dzieje się z moim współtowarzyszem i goniącym nas Niemcem.

To, co zobaczyłem – przeraziło mnie okropnie, a nawet na moment odebrało siły do dalszej ucieczki. Na szosie Władek Sankowski szarpał się i siłował z prowadzącym nas Niemcem. Początkowo chciałem mu iść z pomocą, ale już w następnej chwili, widząc w tym beznadziejność, pobiegłem w stronę wspomnianego lasu. Resztką sił dobiegłem do strumyka płynącego na skraju lasu i chcąc go przeskoczyć, a będąc zbyt słabym i wyczerpanym wpadłem po piersi do lodowato zimnej wody. Wygramoliwszy się na drugi brzeg, ociekając wodą, dopadłem wreszcie wysokopiennego lasu. Goniąc resztkami sił przebiegłem przestrzeń może 3 kilometrów i dotarłem do szerokiej leśnej drogi. Zanim ją jednak przeskoczyłem, nauczony w wojsku, przyklęknałem i obserwowałem, czy nie zobaczę na niej kogoś niepożądanego. To, co zobaczyłem było dla mnie gorzej niż straszne. Na środku drogi, w odległości około 300 kroków, stał gajowy z karabinem czy fuzją gotową do strzału, zwrócony w moją stronę. O dalszej ucieczce w tym kierunku mowy być nie mogło. Cofnąłem się więc kilkadziesiąt metrów, położyłem pod gęstą grupą świerków, zakopałem głęboko w śniegu tak, że jedynie czubek głowy było mi widać. Modląc się i nasłuchując czekałem na dalszą kolej wypadków.

Każdą usłyszaną z dala rozmowę, każdy przejazd leśną drogą skrzypiącej furmanki czy szczekanie psa, było dla mnie straszną udręką. Wreszcie, leżąc tak może godzinę, a może i dwie, usłyszałem głośnie rozmowę, prowadzoną oczywiście w języku niemieckim, z której zdołałem wyłowić jedynie – „wo ist der verfluchte Bandit” (gdzie jest ten przeklęty bandyta). Teraz nie miałem żadnej wątpliwości, że i tu ruszyły patrole w poszukiwaniu zbiegłych „bandytów”. Leżąc przysypany śniegiem, trzęsąc się ze strachu czy też z zimna, błagałem i modliłem się, by jak najszybciej nadeszła noc.

W przemoczonym ubraniu, przysypany całkowicie śniegiem, naszpikowany strachem, przeleżałem cały poniedziałek. Nadszedł wreszcie upragniony zmrok. Wstałem z mego legowiska i poszedłem lasem w kierunku na Rosenberg (Olesno). Obojętny już na wszystko szedłem skrajem szerokiej drogi leśnej, na której 12 godzin temu ujrzałem czyhającego na mnie gajowego. Nie dopatrywałem się już teraz w każdym krzaku Niemca czy innej zasadzki. Teraz szedłem już obojętny na wszystko – podśpiewując jedynie dla dodania sobie otuchy – „Wišta wio, siwku biały”, piosenkę często nuconą w obozie, a przyniesioną przez partyzantów z oddziału „Barabasa”.

Brodząc po kolana w śniegu, po kilkugodzinnym marszu w oddali ujrzałem światła Rosenberga. Do miasta wszedłem od strony targowicy, gdzie stały dziesiątki straganów, w chwili alarmu lotniczego. Na dalekim zegarze wybiła godzina 23. Rozległo się przeraźliwe wycie syren. I tak już przyćmione światła zgasły, wszystko co żyło zamarło, jakby się pod ziemię schowało. Błądząc po opustoszałym mieście znalazłem wreszcie dworzec kolejowy. Biła właśnie godzina 24.

Wokół nie było żywej duszy, jedynie między wagonami na torach spostrzegłem dwóch kolejarzy, którzy mimo alarmu przetaczali wagony z bydłem i świniami, których pełno było na stacji. Straszliwą ciszę rozdzierały jedynie przeraźliwe ryki krów i kwiki świń. Stojąc na rampie, donośnym głosem zapytałem z dala pracujących tu kolejarzy: „Um wieviel Uhr fährt der Zug nach Lubliniec?” (o której godzinie odchodzi pociąg do Lublińca), nie wiedząc, że Lubliniec od pierwszych dni niemieckiego panowania zmieniono na „Loben”.

Niemcy zaczęli między sobą coś szwargotać, co wzbudziło we mnie pewne zaniepokojenie. Wreszcie jeden z nich odpowiedział: „Ach, nach Loben, um halb sechs” (ach, do Lublińca, o wpół do szóstej). Podziękowawszy im odszedłem, rozmyślając co zrobić z resztą nocy.

Mróz był dość mocny, nawet w nosie marzło. Zmoczone ubranie zrobiło się kompletnie sztywne i ocierało mi niemiłosiernie nogi i szyję. Zdecydowałem wreszcie wejść do jednego z wagonów wypełnionych trzodą chlewną. Przytuliłem się więc do jednej świnki i w jej objęciach i jej ciepłe zasnąłem twardym kamiennym snem. Obudziłem się nieco wypoczęty. Opuściłem przytulny i ciepły wagon i udałem się w kierunku stacji, by przekonać się, która jest godzina. Ze zgrozą stwierdziłem, że zegar na budynku stacyjnym wskazywał godzinę szóstą. Pociąg mój do Lublińca, którym zamierzałem pojechać, odszedł pół godziny temu. Zrozpaczony tym

nowym niepowodzeniem, stanąłem z prawej strony budynku stacyjnego, pod siatką, gdzie stał wózek naładowany bańkami z mlekiem. Rozmyślając nad swym smutnym położeniem nie zauważyłem jak od strony torów zbliżył się jakiś człowiek i głośno zapytał po polsku: „Tyś to mleko przywiózł?” Obudzony z rozmyślań, szybko znalazłem się w rzeczywistości i bez namysłu odparłem, że ja. „No, to dawaj je”, odparł przez płot, podchodząc bliżej do samej siatki, nowo przybyły. Chwyciłem więc oburącz bańkę i nie mogąc jej udźwignąć, ciągnąłem po ziemi. Obserwując mój wysiłek i niezdarną robotę, z niedowierzaniem rzekł: „To nie ty przywozłeś, co tu robisz?” Bez namysłu udzieliłem mu odpowiedzi, że uciekłem z robót, z Niemiec, i jadę do Polski, a najpierw do Lublińca. W dalszej rozmowie z nim dowiedziałem się, że pochodzi spod Częstochowy, „od Krzypic”, że jest tutaj na robotach, i że następny pociąg do Lublińca odjedzie o godzinie 8.30 i pojedzie w tym kierunku – pokazał ręką. Dowiedziałem się jeszcze od niego ile kosztuje bilet. Chciałem tę sumę od niego pożyczyć, ale sumitował się, że nie ma przy sobie nawet 1 feniga.

Rozmawiając z nowo poznanym rodakiem doczekałem się nadejścia pociągu, który rzeczywiście w jakiś czas potem wpadł na stację z kierunku, o którym mówił nasz rodak. Wszedłem do niego wraz z kilkudziesięcioma Niemcami, wojskowymi i cywilnymi. W przedziale znalazłem się wraz z jakimś żołnierzem Wehrmachtu oraz dwoma innymi cywilami – oczywiście Niemcami.

Zająłem miejsce w rogu przy oknie, aby zasłonić moje znaczne, wyraźnie rzucające się w oczy ubranie i cały niecodzienny mój wygląd. Ubrany byłem w mundur armii belgijskiej koloru khaki, spodnie – bryczesy popielatego koloru oraz na nogach drewniaki. Na rękawach i spodniach czerwoną olejną farbą wymalowane miałem szerokie pasy, a na plecach takiz wielki krzyż. Na głowie, którą miałem ogoloną na „glacę”, z dwucentymetrową ścieżką wygoloną brzytwą od czoła aż do szyi, miałem czapkę narciarską. Na czapce miałem również wymalowany czerwoną olejną farbą wielki krzyż. Znaki te, wymalowane czerwoną jasną farbą, jeszcze w niedzielę rano, paląc ognisko w lesie, wyczerniłem popiołem i spalonym drewnem, dzięki czemu straciły one swą jaskrawość i nie rzucały się tak bardzo w oczy. Nie wiem do dzisiaj, czy towarzyszący mi Niemcy nie zauważyli zupełnie wyraźnych oznak KZ, czy też udawali, że ich nie widzą. Siedząc skulony w kącie przedziału, w oczekiwaniu jakiejś kontroli, dojechałem szczęśliwie około 10 rano do Lublińca.

Lubliniec znałem dobrze z czasów przedwojennych, gdyż mieszkałem w nim przeszło 2 lata.

Po zatrzymaniu się pociągu nie wyszedłem natychmiast wraz z innymi (pociąg w Lublińcu kończył bieg), lecz moment przeczekałem i następnie, po opuszczeniu wagonu, skierowałem się nie do wyjścia, lecz poszedłem wzdłuż torów kolejowych i wszedłem do miasta obok parowozowni, od strony Sadowia. Na skrzyżowaniu ulic obok znanego mi domu ewangelickiego, z dała ujrzałem stojący patrol żandarmerii, który legitymował wszystkich przechodniów. Ujrzałem go z takiej odległości, że mogłem jeszcze, nie zauważony, skręcić i pójść znaną mi ścieżką wśród domów. Ominąwszy szczęśliwie posterunek żandarmerii, uplanowawszy to sobie uprzednio, poszedłem na dawną ulicę Mickiewicza do pp. Gajowskich, o których wiedziałem, że przez okres okupacji mieszkali na starym miejscu, a których dobrze znałem. Mieszkał u nich przed wojną mój serdeczny przyjaciel, por. Andrzej Gacek, którego często odwiedzałem i tam właśnie z panią Gajowską i jej siostrzenicą Lizbet często się spotykałem. Przed wojną należeli oni do elity kupieckiej miasta Lublińca oraz uważani byli za Polaków. Mając to wszystko na uwadze postanowiłem do nich udać się po jakąś pomoc. Miałem nadzieję, że ze względów patriotycznych oraz ze względu na naszą dawną znajomość, przyjmą mnie i w miarę możliwości pomogą. Panią Gajowską, ubraną w biały fartuch, spotkałem w bramie. Nie widziany przez nikogo śmiało do niej przystąpiłem i w języku niemieckim zapytałem, czy mnie poznała? Pani Gajowska popatrzyła na mnie i odpowiedziała przecząco. Na to wyjaśniłem, teraz już po polsku, że jestem Jerzy Tęsiorowski. Pani Gajowska poznała mnie, wówczas oświadczyłem, że uciekłem z obozu i zapytałem, czy mogę u niej coś zjeść i nieco odpocząć. Na to pani Gajowska po niemiecku rzuciła: „Nein, bei mir ist das unmöglich” (Nie, u mnie to jest niemożliwe) i odwróciła się z zamiarem odejścia. Słyszając całą naszą rozmowę jej siostrzenica Lizbet wyskoczyła ze sklepu, chwyciła mnie pod rękę i ze słowami: „Jurek, komm auf Eierkognak” (Jurek, chodź na ajerkoniak) – pijaliśmy go przed wojną – poprowadziła na I piętro do mieszkania. Zobojętniały na wszystko dałem się jej poprowadzić. Wszedłszy do mieszkania, zamknęła drzwi na klucz, mówiąc: „żeby tylko wujek Ciebie nie zobaczył, bo na pewno zrobiłby Ci krzywdę, to taki niedobry człowiek”. Następnie dała mi gorącej herbaty oraz chleba z masłem i baleronem. Był to mój pierwszy posiłek od 5 dni, czyli od piątku szóstej rano, kiedy zjadłem w obozie ostatnie skromne śniadanie. Nic też dziwnego, że nie zwracając uwagi na następstwa zdro-

wotne, zjadłem całą moc chleba i wypilem jeszcze więcej herbaty. Jedząc to znakomite śniadanie, rozmawiałem z Lizbet o ludziach, których znałem przed wojną, a którzy mieszkali obecnie w Lublińcu. Między innymi dowiedziałem się również, że mieszka i to bardzo niedaleko, żona mego przyjaciela, kapitana Żmudy. W duchu więc pomyślałem, że tam będę próbować dalszego szczęścia. Już na odchodnym zapytałem Lizbet, czy nie ma przypadkiem w domu wódki. Lizbet wyciągnęła z kredensu butelkę, z której gołnąłem cztery czy pięć kieliszków. Teraz świat przedstawił mi się w innych barwach. Znów należał on cały do mnie. Lizbet na pożegnanie dała mi ciepłe skarpety oraz na drogę pudełko sardynek. Pożegnałem ją czule, podziękowałem za gościnę mówiąc, że idę w kierunku na Częstochowę i dalej w kierunku lasów świętokrzyskich.

W rzeczywistości skierowałem swe kroki na ul. Dworcową, gdzie mieszkała pani Żmudowa. Do jej domu było kilkaset zaledwie kroków. Prześlizgnąłem się więc pod domami i szczęśliwie dotarłem, przez niko- go nie zauważony, do znanego mi sprzed wojny czerwonego budynku, przylegającego jedną ścianą do poczty. Z bijącym sercem zapukałem do mieszkania i na polskie „proszę” nieśmiało wszedłem. Zaraz w pierwszej chwili zostałem przez wszystkich poznany i naprawdę po rodzinnemu przyjęty. W parę minut później już umyty siedziałem wśród grona bliskich znajomych, spożywając wraz z wszystkimi obiad. W niespełną godzinę później spałem już snem twardym, w czystym łóżku, bezpieczny, nie myśląc o niczym i nikim. Jak długo spałem nie wiem. Było już zupełnie ciemno, gdy do pokoju wszedł, budząc mnie, ojciec pani Żmudowej, pan Grzegorzycyk. Oznajmił, że przyszedł porozmawiać ze mną mój przedwo- jenny podoficer, obecnie podporucznik, Feliks Kubaś.

Nie wierząc już nikomu zapytałem, czy nowo przybyły nie jest przy- padkiem Niemcem. Otrzymałszy zaprzeczenie oraz wiadomość, że jest on w konspiracji, że po niego specjalnie posłano – uspokoiłem się zupełnie. Z Feliksem Kubasiem przywitałem się serdecznie. Po paru zdawkowych i chaotycznych pytaniach kazał mi się ubrać i iść ze sobą do jego miesz- kania, gdzie, jak twierdził, będę się czuł lepiej i bezpieczniej. Posłuszny jego poleceniom ubrałem się z powrotem w ubranie obozowe i poszedłem na drugi koniec miasta, na ulicę Ks. Rogoskiego, gdzie ukrywałem się do momentu oswobodzenia przez wojska radzieckie. Idąc z Kubasiem ulicami Lublińca w pewnym momencie ujrzałem z dala kilkunastu umundurowa- nych Niemców. Odruchowo skręciłem w najbliższą bramę, jednak dogonił

mnie natychmiast Kubaś i oświadczył, abym takim widokiem nie przerażał się i był spokojny, gdyż znajduję się pod jego opieką.

Kubasiowie mieszkali na parterze w domku swej szwagierki, żony sierżanta Michała Przybyły, który poległ w 1939 roku. Na parterze były 3 pokoje z kuchnią. W jednym z nich mieszkał Schuhkrat, inspektor szkolny, w drugim również jakiś niemiecki nauczyciel. Pokój zaś z kuchnią zajmowali Kubaś z żoną i dwojgiem dzieci. Właśnie tam do pokoju dostawiono mi łóżko polowe i tam miałem spędzić najbliższy okres.

W tym miejscu muszę trochę uwagi poświęcić rodzinie, która z narażeniem własnego życia i z pełnym poświęceniem starała się pobyt mój uczynić nie tylko bezpiecznym, ale i urozmaiconym.

Kubaś następnego dnia „zorganizował” fryzjera, który przyszedł późnym wieczorem, ogolił mnie i ostrzygł. Następnego dnia przyszedł do domu fotograf, który zrobił mi zdjęcia do kenkarty, o którą już Kubaś, z jemu znanych źródeł, rozpoczął starania.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy przyprowadził mnie do swego domu, udał się do znajomego nam sprzed wojny aptekarza, mgr. Eugeniusza Dyczkowskiego, z którym zresztą był w stałym kontakcie, po potrzebne mi leki. Pierwszym razem powrócił z pustymi rękami, gdyż w aptecce zastał gestapowców pijących wódkę.

Od Eugeniusza Dyczkowskiego zdołał jedynie się dowiedzieć, że gestapo jest bardzo zdenerwowane i w ostrym pogotowiu, gdyż z Brzegu uciekło 30 „bandytów”, z których większość już złapali i polują teraz na resztę. W stan alarmu zostało postawione nie tylko gestapo i żandarmeria, ale również i wojsko. Za drugim razem mógł już z aptekarzem rozmawiać w odosobnieniu i spokojnie. Dowiedział się, że gestapo poszukuje jeszcze dwóch bandytów, bo resztę już złapali. Poza tym, nic nie mówiąc o mnie, przyniósł do domu mnóstwo leków, pigułek i innych smarowań.

Niestrudzoną była również w pielęgnowaniu mnie pani Przybyłowa, która po stracie męża w 1939 roku biedowała z dwojgiem małych dzieci.

Starała się ona nie tylko o odżywianie mnie, ale również była dla mnie siostrą miłosierdzia i mocno pilnowała, bym przestrzegał wszystkiego, co zalecił mi mgr Dyczkowski.

Mijały dni. Nagle gruchnęła wiadomość o rozpoczęciu przez wojska radzieckie zwycięskiej ofensywy nad Wisłą. Wiadomość ta gruchnęła niespodziewanie i zakotłowała nieliczną ludnością polską Lublińca. W kilka dni później dowiedzieliśmy się o zwycięskim pochodzie wojsk radzieckich, o zajęciu Kielc, by następnego dnia usłyszeć o okrażeniu Częstochowy.

W czwartek miałem otrzymać kenkartę i jechać furką, jako woźnica, z dr. Willertem, który dwukrotnie w tygodniu dojeżdżał do Blachowni do swych chorych, i przejść tam granicę pod Częstochową, aby dostać się do Guberni Generalnej. Ponieważ jednak zwycięska ofensywa sowiecka szalenie szybko postępowała, postanowiliśmy poczekać na wyzwolenie Lublińca. O zbliżaniu się zwycięskich wojsk radzieckich dawali znać sami Niemcy, byli szalenie podenerwowani i szybko ewakuowali swoje rodziny i urzędy.

18 stycznia już w południe patrole Volkssturmu penetrowały dom po domu, nakazując wszystkim Niemcom ewakuację na zachód. Krytyczny moment przesiedzieliśmy z Kubasiem ukryci w piwnicy. Wieczorem tegoż dnia usłyszeliśmy pierwsze strzały, by rano ujrzeć wkraczające wojska.

Ujrzawszy pierwszy czołg wywiesiłem wraz z Kubasiem na zewnątrz budynku kilka, uprzednio już uszytych, flag polskich. Po ukazaniu się jednak jednego czołgu inne jakoś nie nadchodziły przez prawie 2 godziny i był moment, że myśleliśmy, że wojska radzieckie wycofały się na dalsze pozycje. Nasze kobiety zmyły więc nam mocno głowy za te przedwczesne ukazanie naszej polskości i mogące nastąpić smutne konsekwencje ze strony znów wracających Niemców. Jednak nasza niepewność minęła szybko i bezpowrotnie. Ujrzeliśmy mrowie żołnierzy radzieckich, czołgów, taborów i ciągnącej nieprzerwanie artylerii, nie mówiąc o setkach samolotów przelatujących nad naszymi głowami.

[...] Oddychałem wreszcie z ulgą, że teraz nic mi już nie grozi, że nic mi się nie stanie, że nikt nie będzie mnie już gonił i prześladował.

[...] Po kilku miesiącach [...] spotkałem człowieka znanego mi, którego jednak nie mogłem zidentyfikować. W trakcie rozmowy, którą z nim nawiązałem, okazało się, że jest to Zygmunt Ulfik, jeden z uczestników naszej ucieczki. Od niego właśnie dowiedziałem się o jej historii i losie naszych kolegów biorących w niej udział. Od niego dowiedziałem się, że pięciu kolegów zginęło od kul niemieckich. Nam dwóm, to jest mnie i kol. Emilowi Bratkowi, udało się zbiec. Resztę, nie licząc kapo Henryka Zawieruchy, Niemcy schwytali w krótkim czasie i po odpowiednim torturowaniu przetransportowali do obozu w Brzegu. W obozie wszyscy schwytani uczestnicy ucieczki byli w nieludzki sposób maltretowani. Tego po prostu nie daje się opisać, ale każdy kto zna sadyzm i okrucieństwo Niemców – może sobie to wyobrazić. Byli oni nie tylko bici i torturowani, ale również i głodzeni, a o sposobie w jaki z nimi się obchodzili, niech świadczy fakt, że mimo stycznia na noc byli wiązani drutem i pozostawia-

ni na dziedzińcu pod płotem. Jednym z tych, którzy najbardziej znęcali się nad złapanymi był kapo Henryk Zawierucha, który bił niemiłosiernie pałką drewnianą i kopał, wykrzykując: „Ach, ty polska świnió – Polski ci się zachciało”. Był on bohaterem dnia. Na apelu otrzymał wobec całego obozu szczególne podziękowanie od samego komendanta obozu oraz prezent w postaci 100 papierosów i zezwolenie na wolny wstęp do kuchni i dowolne z niej korzystanie. Również dowiedziałem się o losie jaki spotkał, bezpośrednio po naszej ucieczce, kolegów pozostałych w obozie. Powtórzyły się normalne hece, jakie miały miejsce po każdej nieudanej ucieczce z tym, że tym razem były bardziej sadystyczne i wyszukane. Apel i musztra oraz „mützen auf” i „mützen ab” (czapki na głowie – czapki zdjąć) trwały w nieskończoność. Niezależnie od wszystkiego paru kolegów, których podejrzewano o pomoc i współdziałanie w ucieczce okrutnie maltretowano i aż dziw, że wytrwali i całą tę gehennę przeżyli. Wypada tutaj powiedzieć, że wszyscy ci koledzy, tak uciekający, jak i pomagający nam, szczęśliwie przeżyli obóz [...].

W kilka dni po przywiezieniu niedobitków ucieczki i powtórnym maltretowaniu, przetransportowano ich do centrali Gross-Rosen, gdzie wcielono do Strafkompanie (kompanii karnej), w której królował okrutny kapo Fogel [Vogel – przyp. wyd.]. Samo przydzielenie ich do tego komanda było dla nich wydaniem wyroku śmierci. Nie danym im było jednak umrzeć. Nastąpiła ewakuacja obozu, a z nią ocalenie prawie wszystkich kolegów.